Nr. 9. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 25 Lutego 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OŁGA
księżna Ruska.

Naszkicował
ks. Lic. Cht.

Niedawno temu smutna wieść rozległa się po Polsce, żałobném echem odzywając się w sercach wszystkich, którym ojczyste dzieje i piśmiennictwo nieobojętne, że umarł Juljan Bartoszewicz. — Był to mąż dzisiaj prawie jedyny, który się wtajemniczył w dzieje Rusi, nagromadził sporo materjału do dziejów jéj Kościoła i od razu zajął w ich pojmowaniu stanowisko takie, że go Moskwa prześladować poczęła. Snać więc trafnie się dopatrzył i przejrzał tę nić czerwoną intryg i zdrad, która się skrycie wije przez cały niemal ciąg dziejów Rusi! — On byłby umiał z bronzu dziejów zapadłych w dalekie i minione wieki, z materjału luźnych, nieraz sprzecznych z sobą podań i wieści kronikarskich, wykuć postać dziejową, godną wielkiéj kniahini Rusi, Ołgi, albo Heleny, pierwszéj Świętéj téjże ziemi. — Ale gdy tak niewczesna śmierć już go wydarła, bierzmy się do dzieła, by zastąpić jakokolwiek nową lukę w szczupłym naszych historyków zastępie. Może cieniom jego ulgą to będzie, że „nie wszystek umarł“ i że porzucone w połowie pracy pióro ktoś inny podejmie.

I.

Na wschodnich krésach Polski, nakreślił Bóg szeroką wstęgą Dniepru naturalną Słowian granicę. Z łona Wołkońskiego lasu i źródeł jeziora Ilmen czerpiąc swoje wody, zdąża Dniepr, już od Smoleńska spławny, ku południowi — ku stolicy Rusi, Kijowu, a polizawszy stopy téj złocistéj kniahini swojéj, panoszy się szerokim wylewem po bezludnych stepach. A gdy w biegu swoim natrafia na kraj skalisty, więc z szumem toczy się po „porohach“ a jakoby rozgniewany skręca się nagle i rozpływając się w rozliczne koryta, tworzy bagno Limanu. Tak wpada do Czarnego morza, oddzielając Krym od dawnych dzierżaw Polski [1]). — Wzdłuż pobrzeża Dniepru, albo jak mówi ojciec historyków Herodot stary, trzy dni drogi jeszcze za lewym jego brzegiem kończyły się już w wieku VI wschodnie Słowian granice. Nie różniąc się niczém pomiędzy sobą, stanowili Słowianie jednę wielką rodzinę, która właśnie na wschodzie rozgraniczoną była Dnieprem od plemion Fińskich, Czudzkich, Turańskich. (Wesy, Meranie, Muromcy, Mordwini, Czeremisy i t. d.).

Przytoczymy tu na dowód słowa Nestora, którego przecież nikt z Moskali o tendencyjne rzeczy przedstawianie nie posądzi. „Tak samo i ciż sami Słowianie, powiada Nestor [2]), przyszedłszy siedli nad Dnieprem i nazwali się Polanami, a drudzy Drewlanami, przeto że siedli w lasach; a drudzy siedli między Prypecią i Dźwiną i nazwali się Dregowiczami, inni zaś od rzeczki, która wpada do Dźwiny a zowie się Połota, przezwali się Połoczanami. Słowianie zaś osiedli koło jeziora Ilmenu, przezwali się swojém mianem i założyli gród i nazwali go Nowogrodem (Nowgorod); a drudzy osiedli nad Desną i nad Semą i nad Sułą i nazwali się Siewierzanami.“

Zwracamy tu tylko na to uwagę, iż nigdzie Nestor nie mówi o tém, aby i za Dnieprem mieli byli osieść Słowianie, ważne to bowiem dla tych mianowicie, którzy siedziby Słowian nad rzekę Moskwę, na Suzdal przenoszą i prawią o słowiańskiém pochodzeniu Moskali.

[1]) W. J. Rudawski. Hist. Pols. Tłum. Wł. Spasowicz. Petersb. 1858.
[2]) Nestor tłum. Bielowski w Monumenta Pol. hist. p. 553. ed. Leopol. 1864.

Z Nestorem zgadza się w opisie siedzib słowiańskich Jordanes biskup gocki[1]), Prokop[2]) i inni byzantyńscy pisarze[3]). Najwiarogodniejszym z późniejszych pisarzy jest niewątpliwie sam historyk moskiewski Karamzyn, który wręcz mówi[4]) że „prawdopodobnie sięgały granice Słowian na wschód aż do Smoleńska i Czernichowa", a więc nie daléj jak po brzegi Dniepru.

II.

Za młodu ucząc się dziejów ojczystych, powtarzamy sobie znaną bajkę oną, że przyszło trzech braci Lech, Czech i Rus, że od Lecha Polacy, od Czecha Czesi, od Rusa Rusini ród swój wywodzą. — Kto tę bajkę pierwszy zniewiechał, nie czas i nie miejsce tutaj wykazywać, dosyć że to istnie zniewiechana bajka, psuje nam całe zasadnicze pojmowanie dziejów. Ten Rus bowiem przybył dopiéro w IX wieku i zajął ziemię Lecha, albo, mówiąc wyraźniéj, Warego-Rusów zbrojne zastępy przybyły na ziemię polską i owładnęły jéj częścią wschodnio-południową.

W dwieście lat po tém wydarzeniu żyjący Nestor przechował nam nazwę i czyny tychże Rusów, gdy mówi[5]): „Szli (Słowianie) za morze ku Waręgom, ku Rusi: bowiem tak się zwali ci Waręgowie Rusią, jako drudzy zowią się Szwedami itd." Albo gdy mówi o książętach kijowskich, że „zgromadzili mnóstwo Waręgów i poczęli władać Polską[6])", a ponieważ panowanie ich za Kijów sięgało, dobrze więc Nestor wiedział, że tam wszędzie polska ziemia była. I owszém na str. 555 mówi, że jeden z książąt u Polan nazwiskiem Kij założył Kijów a okolicznych Kijowa mieszkańców wszędzie Polanami zowie.

III.

Powodem do tego zajęcia ziemi słowiańskiéj przez Warego-Rusów były niewątpliwie spory domowe i co za tém koniecznie idzie wyczerpnięcie sił żywotnych. Jakoż jeszcze przed czasem, w którym opowiadanie nasze się zaczyna, opłacali się Słowianie różnym ościennym ludom i nawzajem co silniejszy szczep słowiański na słabszych sąsiadów bratnich daniny nakładał. I tak Dulebów podbili Obrowie[7]), a gdy tych się pozbyto, uciskali ich potém Pieczyngi. Polan, Siewierzan i Wętyczan uciskali Kozarowie (Chazarowie). Waregowie z za morza często napadali Krzywiczan aż wreszcie się stali panami całéj wschodnio-południowéj Słowiańszczyzny. — Pierwsi ulegli im Słowianie Nowogrodzcy, którzy byli w domowéj waśni z Gostomisławem kniaziem Pskowa. Gostomisław wezwał bowiem na pomoc Waregów i sam dopomógł im do podbicia Nowogrodu. Zaczém Ruryk, wódz Waregów, zajął Nowogrodzką rzeczpospolitę „i rozdawał dostojnikom swoim włości i grody", a schodząc z tego świata, oddał rządy księstwa Olegowi, synowi Gostomisława, ażby własny syn jego Igor nie podrósł.

Oleg wierny przyrzeczeniu dochował wiary Rurykowi i przysporzył wychowańcowi swemu ziemi niemało. Przy pomocy Waregów, fińskich Czudów, Merów i Wesów i wreszcie swoich Słowian, podbił Krzywiczan, zajął Smoleńsk, wziął Lubecz a wreszcie zajął Kijów podstępem. W dwa lata potém zawojował Drewlan (891) i „brał od nich dań po czarnéj kunie." Następnego roku wyzwolił Siewierzan z pod jarzma Chazarów, ale sam nałożył na nich dań lekką, a wreszcie to samo zrobił z Radymiczami.

W ten sposób zawładnął Oleg Krzywiczanami, Polanami, Siewierzanami i Radymiczami, a „z Onliczami i Tywercami wojnę miał"[1]).

Tymczasem podrósł Igor Rurykowicz a Oleg ożenił go z córką swoją Olgą, tą właśnie, o któréj tu mówić zamierzamy. Zostawiając tedy wychowańcowi i zięciowi swemu zarząd księstwa, sam chciwy łupów wyprawia się na Greków[2]) i tam dumny zwycięzca każe na bramach Carogrodu zatknąć „żagle pawołoczne Rusi i żagle pokrzywiane[3]) Słowian." Zwycięska ta wyprawa uwieńczona świetną ugodą była jednak już ostatniém dziełem Olega, wkrótce bowiem potém umiera, skaleczywszy sobie, jak prawi Nestor, nogę o czerep koński.

Po śmierci Olega wstępuje w ślady opiekuna rycerski wychowaniec jego Igor i całe życie spędza na podbojach sąsiednich i ościennych szczepów, których Oleg jeszcze shołdować nie zdołał.

W one czasy szły ku Słowiańszczyznie bezustannie koczownicze Warego-Rusów gromady, a przy ich to pomocy mogli Rurykowicze wieść nieustanne boje. Jakoż i Igor łakomiąc się na bogactwa Carogrodu, niepomny świeżéj Olegowéj ugody z Grekami podejmuje nową wyprawę, na któréj 6 lat trawi[4]). Atoli wyprawa ta źle się ukończyła dla niego, bo grecki ogień spalił mu łodzie, na których do Bosforu popłynął i bez łupów i bez wojska wrócił Igor do domu. Nie zrażony tém wszelako już w trzy lata po powrocie do domu, znowu przywoławszy Waregów i sprzymierzywszy się z Pieczyngami, ponawia na Greków wyprawę, i tym razem tak szczęśliwie, że cesarz grecki Roman sam prosi o pokój. Ciekawa przytém, że na czele licznéj posłów gromady, którzy do zawarcia ugody byli umocowani, występują posłowie całego książęcego domu, więc: Iwor poseł Igora wielkiego księcia ruskiego i zwyczajni posłowie: Wujefast Świętosława syna Igorowego, Iskusewi księżnéj Olgi[5]) itd. — Mocą téj nowéj ugody, obowiązali się Grecy dostawiać Igorowi posiłków na wojnę, za co tenże miał bronić granic Chersonu przeciw czarnym Bułgarom i nigdy nie niepokoić okrętów greckich rybaków przy ujściu Dnieprowém.

Igor poprzysiągł mir ten nowy w obec posłów greckich na wzgórzu pod Kijowem, gdzie stał posąg Peruna, złożywszy oręż swój i tarczę na ziemię „a chrześcjańska Ruś składała przysięgę w cerkwi Eliasza, która jest nad Ruczajem w końcu Pasyńczéj biesiady i Kozary: to bowiem była cerkiew soborna, gdyż wielu Waręgów było chrześcijanami." — Niespokojny to był jednakże duch ten kniaź Igor i krew koczowniczych Waregów zanadto w nim jeszcze wrzała, aby mógł był choć chwilę w domu posiedzieć, tego więc jeszcze roku wyprawia się na Drewlan, aby, jak mówi Nestor, większą dań na nich wymusić — ale znajduje w téjże wyprawie śmierć pod murami stołecznego Drewlan Korostenia. D. c. n.

---

[1]) Jordanes Get. c. 5. „Sclavini a civitate Novielunensi a lacu qui dicitur Mursianus usque ad Danastrum. Antes vero qui sunt eorum fortissimi qua Ponticum curvatur mare, a Danastro extenduntur usque ad Danaprum etc."

[2]) Procop. de bello Gothico lib. II. c. 14. ed. Dindorf. Bonnae 1833.

[3]) Theophan w Chronografji Juljana cesarza c. 32 i Const. Porphyrogen. o rządzie państwa ks. II. c. 29. Ludy za Dnieprem mieszkające nazywają ci pisarze Turkami; cfr. Cedrenus w ks. o Hierarchji XVI. i Assemana: Kal. Eccl. Univ. T. III. p. 14.

[4]) Karamzyn T. I. not. 46. cfr. mapę do tegoż tomu dodaną.

[5]) Nestor. ibid. p. 564. „Idoszą za more ku Waregom, ku Rusi; si że bo sę zwiahę ti Warazi Ruś, jako se druzii zwieją̨t sę Sweje etc."

[6]) ibid. p. 565. i naczęsta wladiti polskoją zemleją."

[7]) O tychże Obrach podobnie jak Nestor wspomina także Fredegar Chron. c. 48, a Massudy u D'Ohossona: „Des peuples du Caucase" str. 87. identyfikuje Czechów z podbitymi przez tychże Obrów Dulebami. W słowie o pułku Igora czytamy ich nazwę nie Obre, jak pisze Nestor, jedno Oware; cfr. Bielowski Obj. Nest. p. 841.

[1]) Nestor p. 568. dokonał shołdowania tychże szczepów Słowiańskich Igor (r. 914) jak się dowiadujemy z zapisku w rękopiśmie patrjarszym zachowanego w Połn. Sobran. russk. lietop. IX. str. 26. cfr. Biel. p. 842.

[2]) Wedle chronologji Nestora 6412—15 (= 912—15).

[3]) Nestor p. 574. może to „kropiinija" Nestora należałoby tłomaczyć przez nakrapiane — kolorowe — pstre?

[4]) Wedle chronologji Nestora 6443—9 (= 913—9).

[5]) Nestor p. 588. imiona wszystkie tych posłów są skandynawskie, co dowodzi że Waregowie sami wonczas jeszcze u steru księstwa stali.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

— A wié pani jak go doktor Tucki nazywa?...

— Cóż mnie to może obchodzić, moja Kaziu?...

— Jakże panią nie ma obchodzić takie ciekawe przezwisko? — szczebiotało daléj mało różniące się od dorosłéj osoby dziecko, — doktor Tucki powiada, że to egzemplarz... ale nie chce się przyznać dla czego go egzemplarzem nazywa. Czy to nie dla tego proszę pani, że on się żeni z panną Izą?...

Zapytanie było drażliwe.

— Zkądże ja mogę wiedzieć, moja Kaziu? — odpowiedziała Jadwiga, — mówiłam ci przecież że go nie widziałam jeszcze...

— A to niech go pani zobaczy... jest właśnie w ogródku, rozmawia z doktorem Tuckim.

To mówiąc Kazia odsłoniła zieloną firankę, a Jadwiga prawie mimowolnie rzuciła okiem w ogródek.

Rzuciła okiem i zmięszała się, pobladła.

— Jakto? — rzekła napróżno usiłując panować nad swém pomięszaniem, — ten pan... mieszka... w tym domu?...

— Tak jest, w tym domu, a nazywa się egzemplarz, jak go ochrzcił doktor Tucki, i żeni się z panną Izą...

— Żeni się z panną Izą?... co ty gadasz, Kaziu?...

— Ale tak, tak, proszę pani, żeni się... już są po słowie... niech się pani panny Izy zapyta... a choć się panna Iza zaprze, to i tak będzie prawda... Dorosłe panny to zawsze zapierają się, że mają iść za mąż... tylko dzieciom wolno mówić prawdę o takich rzeczach.

Jadwiga długą chwilę jeszcze patrzyła w okno, nie odpowiadając ani słowa. Potém z ust jéj wydarło się prawie mimowolnie:

— On... tu... w tym domu!...

— Pani go zna? — podchwyciła Kazia.

Jadwiga nie chciała odpowiedzieć. Zmięszanie się jéj było nazbyt widoczném, i oka tak mało dziecinnego dziecka jak Kazia ujść nie mogło.

— Ależ pani coś jest? — zawołała nielitościwa dziewczyna, — pani słabo?... czy to dla tego, żem pani powiedziała, że pan Egzemplarz żeni się z panną Izą?...

Słowa te ostrzegły Jadwigę, że się zdradza niepotrzebnie. Zapanowała więc nad sobą, jak mogła i odrzekła:

— Ale cóż ci znowu do głowy przyszło, moja Kaziu?... cóż mnie do tego?...

Kazi widocznie pilno było zanieść swoje obserwacje gdzieindziéj, bo się podniosła i pobiegła ku drzwiom, mówiąc:

— Nie będę pani przeszkadzała, kiedy pani słabo.

— Ależ Kaziu... — zawołała chcąc ją zatrzymać Jadwiga.

Straszne dziecko Babiéj wyspy było jednakże już daleko, a choćby było blisko na niewieleby się przydały słowa, bo nie miało zwyczaju słuchać.

Pozostawszy sama, Jadwiga przez chwilę jeszcze popatrzyła w okno, potém szybkim, gorączkowym ruchem zasłoniła firankę, i powróciła do roboty z westchnieniem.

Z ust jéj wydobywały się ciche, ledwie zrozumieć się dające wyrazy:

— Tak... prawda... co mi do tego!...

Na robótkę kapnęła łza.

IV.

Znakomitość wiedząca o sobie odwiedza znakomitość, która o sobie nie wié.

Jak się łatwo domyśleć Kazia nie długo utrzymała w sekrecie zrobione przypadkiem spostrzeżenie. Zaraz po drodze, przez okno powiedziała cioci Petroneli, że pani Jadwiga zna od dawna i bardzo dobrze pana Egzemplarza, z czego panna Petronela swoim obyczajem zaczęła najdziwniejsze wnioski wysnuwać.

— Znają się i tają się z tém, — mówiła sobie, — oczywiście jest w tém coś... Wprowadzili się tu jednego dnia, niby nie wiedząc o sobie, to także nie jest bez kozery... Oczywiście kryje się tutaj jakaś okropna tajemnica.

I zadumała się poczciwa ciocia pragnąc odgadnąć, jaka tajemnica kryć się w tém mogła.

Dumanie trwało niedługo, ciocia Petronela była jedyną do rozwiązywania tego rodzaju zagadek.

Jest tu nad czém łamać głowę? — rzekła do siebie, — ależ to jasne i wyraźne... on ją musiał wykraść i przywiózł tutaj... nie pobrali się jeszcze, więc nie mieszkają razem, ale się pobiorą niedługo... Biedna Izia! to się dopiéro zmartwi jak się o tém dowié... Muszę jéj to zaraz powiedzieć, bo lepiéj żeby się dowiedziała odemnie, jak od kogo innego...

Nie zwlekając ani chwili ciocia Petronela podniosła się i poszła do gospodyń. Potrzebowała przejść przez podwórze i przez bramę, zostało jéj więc jeszcze trochę czasu na dalsze wnioski i domysły. Przypomniała jéj się jakaś awantura, którą kilka dni temu opowiadano sobie po Krakowie, a któréj treścią było wykradzenie. Nim doszła do mieszkania panien Rękalskich już i tę awanturę wplotła w historją opowiedzianą przez Kazię.

Kazia tymczasem wyprzedziła ciocię Petronelę z językiem. Wprost od niéj pobiegła do panny Izy.

— Wié pani, wié pani... — zawołała zaraz w progu, — powiem pani wielką nowinę.

— Cóż takiego?... Kazieczko, mów prędzéj, — zaczęła się dopytywać zaciekawiona panna Iza.

— Ten pan Egzemplarz... — zaczęła Kazia.

— Mówiłam ci, — przerwała z gniewem panna Izydora, — dziesięć razy ci mówiłam, żebyś się nie ważyła pana Pilskiego nazywać egzemplarzem.

— Éh! ja to tylko tak mówię, przez prędkość, — szczebiotała daléj Kazia, — otóż dzisiaj dowiedziałam się z pewnością...

— Że co? że co?... powiedz-że raz nareszcie nieznośna dziewczyno.

— Że ten pan Egzemplarz z tą panią Jadwigą to się znają jak łyse konie...

— Co ty znowu gadasz, Kaziu?... nie może być!...

— Ale tak... tak... doprawdy... jak pannę Izę kocham... niech się panna Iza cioci Petroneli zapyta...

Ciocia Petronela wchodziła właśnie i nie czekając na zapytanie zaczęła opowiadać swoje:

— Tak Iziu, tak... Kazia prawdę mówi...

— Oni się znają!... doprawdy?...

— Rozumie się że się znają... i jak jeszcze... Ona to jest ta baronówna z Bukowiny...

— Do tego baronówna!... o ja nieszczęśliwa!...

— A on był u jéj rodziców kucharzem...

— Kucharzem?... a cioci zkąd to do głowy przyszło?...

— Wszakże słyszałaś, co opowiadali kilka dni temu, że jakaś baronówna z Bukowiny dała się wykraść swemu kucharzowi, — tłomaczyła z głębokiém przekonaniem ciocia, — uciekli i przepadli jak kamień w wodę... otóż to jest on i ona!..

Panna Izydora wiedziała z doświadczenia, że na słowach cioci Petroneli nie ze wszystkiém polegać było można, opamiętała się więc z pierwszego przerażenia i odrzekła:

— At! bajki..

— Wy bo zawsze mnie nie wierzycie, — nadąsała się ciocia, — a przecież zawsze się sprawdza co ja powiem... ja nawet zaraz spostrzegłam, że on ma coś kucharskiego w sobie..

Panna Iza aż podskoczyła.

— Proszę cioci, niech mnie ciocia takiemi bredniami nie drażni, — zawołała z gniewem, — chyba że ciocia chce, żebym się rozchorowała naprawdę.

Starsze siostry, które ta scena wyciągnęła z sąsiedniego pokoju, zaczęły godzić sprawę i uspakajać pannę Izę. Z panną Petronelą nie była trudna sprawa. Widząc aż trzy panny Rękalskie przeciw sobie, przestała ona bardzo prędko snuć daléj rozdzierające serce panny Izy domysły, i jak zazwyczaj wpadłszy w melancholiczne usposobienie, powróciła do siebie, narzekając:

— Mój Boże! mój Boże!... jaka taka znajduje swego... tę nawet wykradli... a o mnie nikt ani pomyślał!...

Po jéj wyjściu panny wzięły Kazię na indagację, i zdołały od niéj wydobyć nareszcie dokładne opowiedzenie wszystkiego co zobaczyła.

— Widzisz, Iziu, to nic strasznego, — zauważyła panna Eleonora.

— Doprawdy nic strasznego, — zawtórowała jéj najstarsza siostra.

— Aha! tak... nic strasznego... — dąsała się panna Iza, — piękne nic strasznego.. ta awanturnica, którąście na moje utrapienie pod nasz dach wpuściły... ta niegodziwa jakaś, zaczyna już intrygować, dołki kopać podemną... Wam za to podziękować powinnam, wyście winny wszystkiemu, wyście się na mnie sprzysięgły.

— Ależ Iziu, — mitygowały ją siostry, — przecież na wszystko jest sposób, to się i na to jakoś poradzi...

— Ciekawam jak?... radźcie jeśli umiecie, jeśli nie chcecie mieć na sumieniu mego nieszczęścia.

Zaczęła się rada, a raczéj sejm prawdziwy. Podawała projekta i wnioski panna Teodora, lecz te upadały pod większością głosów panny Izy i panny Eleonory, — projektowała różne sposoby panna Ełeonora, ale opozycya panny Izy i panny Teodory zmuszała do ich odrzucenia.

Po dość długiéj bezowocnéj naradzie, nareszcie pomysł najpraktyczniejszy przyszedł do głowy pannie Izydorze.

— Otóż ja wiem jak trzeba zrobić, — zawołała, — dowiemy się niedługo, czy on na serjo ma zamiary... będzie u nas bywał... wszystko pójdzie doskonale.

— Cóż trzeba zrobić, mówże Iziu.

— Trzeba ojca nakłonić, żeby do niego poszedł z wizytą....

— Ależ ojciec tylko u uczonych bywa... u archeologów....

— To też on archeolog... czyż nam nie powiedział, że się chce archeologji poświęcić?...

— Prawda, prawda, mowił tak rzeczywiście!...

— Tego dnia kiedy wynajmował mieszkanie...

— Żem ja téż o tém zapomniała!...

— Że mi téż to pierwéj na myśl nie przyszło!...

Wniosek panny Izy przyjętym został bez głosowania, przez aklamację.

W dalszych debatach uradzono jeszcze, że aby ojca tembardziéj do złożenia wizyty nowemu lokatorowi zachęcić, należy się dopuścić pewnego... nie kłamstwa broń Boże, ale przemilczenia. Przemilczeć nie jest to jeszcze skłamać, jest to tylko wyzyskać nieoględność osoby, z którą się rozmawia, a któréj nie mogło przyjść na myśl pewne zapytanie, dotyczące przemilczanéj okoliczności. Przemilczenie jest zatem mniej jak kłamstwo, i jeżeli kłamstwo jest grzechem śmiertelnym, to przemilczenie jest powszednim, a jeżeli kłamstwo jest powszednim, — co jest bardzo prawopodobne, bo są przecież osoby, które codziennie kłamią, — to przemilczenie nie jest grzechem żadnym. Jeżeli kłamcy idą do piekła, to dla przemilczających miejsce jest w czyśćcu, a jeżeli kłamcy zasługują tylko na czyściec, to przemilczający muszą iść prosto do nieba.

Tak sobie rozumowały panny Rękalskie i postanowiły przed rodzicem swoim zamilczéć ten drobny w gruncie szczegół, że Pilski dopiéro od wprowadzenia się na Babią wyspę został archeologiem.

— Powiemy, że to archeolog i basta, — rzekła panna Iza, — co nam do tego odkąd... nieprawdaż?...

— W istocie... — potwierdziła panna Teodora, — przecież nie my mu wystawiałyśmy patent na archeologa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

W zimie roku 1855-go odwiedziłam Warszawę — i bywałam znowu na poniedziałkach, sławniejszych wtedy jeszcze, bo je uświetniały improwizacje Deotymy. — Lecz byłam sama, bo już wdową.

Zebrania bywały nadzwyczaj liczne: salon, literalnie mówiąc, był przepełniony. Obecność wielu rodzin zamożnych, z Ukrainy, Litwy, Wołynia, Podola— nadzwyczaj ożywjała towarzyskie życie Warszawy. — Na wschodzie krwawe toczyły się walki. Na Ukrainie lud powstał — powstał przeciwko rządowi, nawet i przeciwko schizmie — a dla obywatelstwa dwoiście niebezpieczno było tam powracać. — W okolicy Białocerkwi zebrane tłumy liczono na dziesięć-tysięcy — i wysłano na nie wojska z Kijowa.

Na pierwszym zaraz poniedziałkowym wieczorze miałam nieokreśloną przyjemność posłyszenia improwizacji.

W pośród rozmów ożywionych, wesołych, półgłośnych — powstał ruch nagły, i podawano sobie: „Improwizacja!“

Zasiadło przy bliższym stoliku czterech stenografów, pomiędzy tymi sam pan Wacław Łuszczewski. Wszystko było w oczekiwaniu.

— Zadano: Przeczucie — poszepnął mi zcicha

Władysław Kazimierz Wojcicki Redaktor Biblioteki Warszawskiéj, autor Historji Literatury polskiéj — Klechd — Gawęd — itd. itd.

Deotyma stanęła na środku. Cała w białym kaszmirze — z włosami z tyłu głowy podwiniętemi, jak na Kaniewskiego obrazie. W koło niéj małą tylko, próżną zastawiono przestrzeń. Jednę połowę salonu przeważnie zajęły panie. Drugą panowie, którzy niby mur utworzyli. Cisza zaległa, nikt odetchnąć nie śmiał. — Wieszczka stała — jak gdyby duchem odbiegła ziemię — jak gdyby z nami nie była wcale: jakby pogrążona w śnie somnambulicznym. Takie na mnie uczyniła wrażenia — a silne bardzo. Stałam wsparta na krawędzi krzesła, bom dosiedzieć nie mogła. Objęłam ją wzrokiem — życzeniem — przejęciem się całém — że aż tchu niby zabrakło.

Zaczęła mówić.

Sympatyczne rysy nieokreślony przysłonił wyraz: natchnienie. — Lica jéj były nieco przyblade. Oczy to wzniosła, to spuściła znowu. Rękę, jakby utoczoną, na któréj lekki, szeroki zwieszał się rękaw, podnosiła czasami. Niekiedy pierś uczucie wzdęło silniejsze — ale cała postać i rysy posągowy zachowały spokój. Mówiła z początku wolniéj — ciszéj — potém nieco szybciéj — głosem podniesionym więcéj. A słowa z ust jéj płynęły, jak gdyby sama nie wiedziała o nich. I zapamiętałam na zawsze pełne myśli wyrazy:

Przeczucie — światów ogniwem;
Przeczucie — mędrców podziwem;
Przeczucie — kluczem poety;
Przeczucie — skarbem kobiety,

Gdy skończyła — wrzawa otoczyła poetkę. Pochwały głównie w języku francuzkim sypano. Ale posłyszano i szczero-polskie słowa.

— I cóż pani powiesz? zapytał mnie p. Henryk Lewestan.

— Doznałam nadzwyczaj silnego wrażenia — odrzekłam — że i prawie oprzytomnieć nie mogę.

— Bardzo wierzę. Jestem mężczyzną silnym, nieskorym do wrażeń, chłodnym, a wszelako czułem się dziwnie przejęty, aż niby nerwowy, po pierwszéj posłyszanéj improwizacji.

Pani Nina Łuszczewska wychodziła podobno zawsze w czasie improwizacji córki do drugiego pokoju. A łatwo to uczucie matki zrozumieć.

Usiadłam obok dwóch młodych Ukrainek. Z jedną — panią Heleną M. — wiązały mnie przyjazne stosunki już z lat dawniejszych. Znała dobrze muzykę, grała pięknie na fortepianie — bo i Schulhof nadał był sankcją jéj artyzmowi — ale nigdy, przez wrodzoną skromność i nieśmiałość, nie chciała publicznie wystąpić. Prosiliśmy ją znowu — odmówiła.

Ukrainki nieokreślony mają urok, w postawie całéj, w wyrazie twarzy, w głosie i mowie. Przytém ujmujący wdzięk prostoty — i szczególniéj łagodne obejście. — Wołynianki są więcéj światowe, w innym rodzaju powabne — uprzejme — rozumne — więcéj grandes dames — i z pewną dozą próżności niekiedy. — Podolanki do Ukrainek podobne — piękne i miłe — ale Ukrainki, zdaje mi się, więcéj mają poezji. Znać im tę cechę kraj ich nadaje — kraj podaniami poetyckiemi i smętnemi przewiany dumami. — Litwinki nieskończona oznacza serdeczność. Egzaltowane nibyto często — ależ ta egzaltacja pociąga, zjednywa sympatją — i wdzięku dodaje, bo jest szczerą bez przesady. Litwę duszą kochają całą, i wszystko co się zwie litewskiem. O sobie zwykły wyrażać się, śpiewną swoją mową: „My proste, poczciwe Litwaczki obłudy nie znany!“— I téż, zaprawdę, że Litwa poczciwa! — Bodaj która ziemica polska tyle przechowała cnót dawnych, co Litwa — tyle czystości obyczajów! Bo trudniéj do pierwiastkowéj, poczciwéj prostoty Litwy przylegają zagraniczne przywary i narowy. A dodajmy jeszcze: Litwa tém wyróżnia się święta, bo kocha i uczcić umie proroków swoich! — Nie do Litwy może być zastósowaném przysłowie: „Nikt nie jest we własnym kraju prorokiem!“ — Bo dla Litwy Adamy, Szymony, Tomasze, są prawdziwymi wieszczami narodu, i cześć uroczystą przechowują tam dla nich. — A uchowaj Boże, by kto na Syrokomlę co powiedział! —

Ale wróćmy na wieczór poniedziałkowy. — Mówiłam z mojemi dwiema Ukrainkami o posłyszanéj co tylko improwizacji. Orzeczenie przeczucia szczególniéj do marzącego usposobienia pani Heleny trafiło. — Uważałyśmy także, że niektóre salonowo-pochwalne frazesy, które o nasze obiły się uszy, były, ot, tak sobie rzucone — że nawet i pewnym dysonansem trąciły.

Pani Ewelina K. — druga Ukrainka — z talentem malarskim — opowiadała mi, że dnia wczorajszego — gdy w małém kółku zajmowały się wirującą ekierką, zapytała pani Helena o swoją charakterystykę — i odpowiedz arcy-trafna wypadła:

Prosta jak gołąb, jak dziecię niewinna —
Nie ma téj siły — którą mieć powinna.

Wirujące stoliki, ekierki i t. p. — były wtedy na porządku dziennym w Warszawie.

Przysiadł się do nas pan Kazimierz — i rozmowa przeszła znowu na pole improwizacji, pod któréj wrażeniem zostawałam ciągle. Mówił o liście otwartym do mnie Antoniego Marcinkowskiego — Gryfa — w Gazecie warszawskiéj. (Do autorki Wawrzyny)— w którym kijowski estetyk nader wysoko improwizacje Deotymy ocenił. — A potém zagadał:

— Niemasz tu dziś jednego z najgorliwszych dawniéj czcicieli naszéj improwizatorki, a obecnie antagonisty.

— Pana Wacława Szymanowskiego?

— Tak jest.

— Ale dla czegóż stał się antagonistą? Poeta Człowiek z sercem!

— Dla czego?! Alboż ja wiem. — Pamiętam przed dwoma laty, było to przy herbacie u pani P. — Mówiono o improwizacjach. Pan Wacław był entuzjazmowany. Ktoś tam z nim niezupełnie się zgadzał. A pan Wacław w gwałtownem uniesieniu, uderzywszy szklanką w stół, o mało, że nas wszystkich nie obryzgał ukropem. Bo szklanka roztrzaskała się w kawałki a powódź serwetę zmoczyła. Rozśmiałem się. Alem nie przypuszczał wszelako, że ów gorący entuzjazm tak rychło przemieni się w antagonizm. Otóż, niestety, wszystko zmianie na ziemi podlega! Veränderung ist Naturgesetz — wyrzekł któryś z myślicieli niemieckich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Czytelnicy! Nim przystąpię do kroniki muszę Was uprzedzić, czegobyście się i bez tego zapewne sami domyślili, że w osobie mojéj przedstawia Wam się nowy kronikarz — nie ów księżycowy, któregoście dotychczas czytać przywykli; dla czego i jakim sposobem ten uciążliwy honor zastępcy mię spotkał, opowiem: dawniejszy Wasz kronikarz dla jakichś ważnych podobno interesów, na pewien czas się ulotnił i do téj chwili ani go słychu;

otóż w miejscu i chwili, w których debatowano, kimby nieobecnego kronikarza aż do jego powrotu zastąpić, byłem właśnie przytomny i brawując trudne obowiązki kronikarza, wyrwałem się nierozważnie, że nie może być nic łatwiejszego jak napisać kronikę, że jeżeli tylko o to idzie tom ja nią gotów służyć. I ot stało się nieszczęście — złapano mię za słowo i na ten jeden jedyny raz jestem Waszym kronikarzem. Że na téj zmianie wy szanowni i mili mi czytelnicy (tém milsi że mnie czytać chcecie) nic nie zyskaliście nie wątpię — z drugiéj znów strony mogę was najuroczyściéj zapewnić, że ja sobie kupiłem ciężki kłopot, bo jak tu pisać profanowi, który z piórem mało ma znajomości a nawet jéj unika, i który choć czasem co i przeczyta to prawie nigdy nie pisze, aby się z piórem zbytecznie nie spoufalić, a palcy nie powalać atramentem. — Pisać tém trudniéj że niesłychanie uciążliwe postawiono warunki, zabroniono bowiem opisywać wszystkich plotek, krążących po naszém miłém miasteczku, choćby te nawet były pełne interesu i dowcipu, wszystkich balów i balików, wieczorów i wieczorków, choćby się na nich jak najlepiéj bawiono, choćby one były płodne w zajmujące następstwa i choćbym ja sam nawet najrozkoszniejsze wyniósł z nich wspomnienia. — Straszny, zabijający warunek! Nadużyto mię, podłechtano miłość własną, nabijając myśl tém, że własnemi oczyma widzieć będę własne moje wyrazy drukowanemi literami pisane i nie dawszy czasu do namysłu, do przyjęcia warunku zmuszono. — Stało się więc, muszę pisać, a publiczność przeczytać musi, — żałuję i jéj i siebie; pocieszam się jeszcze tą tylko myślą, że do przyszłotygodniowéj kroniki, choćby nawet dawniejszy wasz kronikarz nie wrócił, niezawodnie mnie ze słowa zwolnią.

* * *

Więc karnawał niepowrotnie skończony! Wieczorków mieliśmy mało, bali nie mieliśmy wcale, jeden jedyny koncert p. Hertza — bo wędrownych Europy koncertantów jakoś nie zwabił tegoroczny karnawał. Słowiki zmilkły nam przerażone wojenną wrzawą i muzyką wystrzałów. To też na owym jedynym koncercie wielka sala Bazaru była zapełniona publicznością. Dziwnaż bo ta Poznańska publiczność! Spokojna zawsze a chłodna! Mnie, com się wychował w Warszawie niepojętym jest ten chłód nieporuszony; to też długo siliłem się na rozwiązanie téj sfinksowéj dla każdego artysty zagadki. Już chciałem pomówić Poznańczyków o splen angielski — już to o krew rybią, gdy niespodzianie los podał mi w rękę klucz od tego zagadnienia. Byłem w teatrze, na wystąpieniu istotnie utalentowanego artysty warszawskiéj sceny, — artysty, którego każde słowo, każdy ruch każdy rys twarzy, jest owocem długich studjów, a przez to samo jest w grze jego prawda, ten najwyższy artyzm. Publiczność była zimną — strasznie zimną; mnie żal było artysty, co przywykł do uznania stolicy, któréj jest jednym z ulubieńców; myślałem znowu dla czego oni tak obojętnie przyjmują Rychtera? czy stoją tak wysoko, że tylko Dawisonom klaskają, a resztę uważają za miernotę? Z téj zadumy zbudził mnie nagle grzmot oklasków frenetycznych — ucieszyłem się, przecież się zapalili, pomyślałem. Podniosłem oczy, pojednany z Poznanianami… przedemną na scenie zginał się w ukłonach p. Henig, ulubieniec publiki, komik dobry do farsy! Odtąd zrozumiałem Poznańską publiczność — nie cierpi ona na splen, ani nie ma pogardy dla tego co jest tylko talentem a nie genjuszem — po prostu za mało jest wykształconą w sztuce, za mało ma sposobności czy zamiłowania aby stanąć na tym punkcie, gdzie się odróżnia mierność od prawdziwego talentu. Na scenie nie przyklaskują tu grze aktora, a przynajmniéj jeżeli to się dzieje, to chyba instynktowo, tu publiczność daje oklaski frazesowi, który jéj bądź-to zaimponował swą górnolotnością, bądź istotnie wpadł do serca. Na koncertach słychać grzmotne oklaski dla Rubinsteinów i Tausigów ale tym, którym Europa nie wydała jeszcze dyplomu wielkości obawia się przyklasnąć publika… aby się nie „zblamować.“ A zresztą pocóż w ogóle idzie się na koncert? zwłaszcza też w tak nieożywionym jak tegoroczny karnawale?… To pytanie pozostawiam zagadką dla publiczności, w odwet za przeszłe, nad którém ona kazała mi tak łamać sobie głowę.

* * *

Czy byliście na przedstawieniu Lekarza swego honoru? Nie wątpię że kto był na nim wyszedł zadowolnionym, jakaś inna, świeższa owiała nas owych ubiegłych lat atmosfera, nie ta zaprawna wyziewami bruku i błota bulwarów, którą nas w ostatnich czasach tak obficie karmiono. Wprawdzie lekarz zbyt radykalnych używał środków, wprawdzie lekarstwa straszniejszemi były od saméjże choroby — może nawet był Don Guttyere po trochu utopistą, bo walczył w imię honoru a nie w imię uczucia, które gdzieś na drugim pozostało planie, — mimo to widz miał dla téj postaci dziwną jakąś sympatję. Nie wdając się w ocenę gry artysty, powiedzieć tu musimy, że wrażenie jéj byłoby o wiele większém, gdyby pan Dobrzański, którego przywykliśmy najczęściéj widzieć w tak zwanych czarnych rolach, nie pozostawiał nas początkowo w niedowierzaniu czy mamy brać charakter ten na serjo. Koniecznie chciało się wziąć tę szlachetną naturę za maskę. Byłożby to wynikiem gry czy też naszego nawyknienia?… Bądź co bądź wdzięczniśmy beneficjantom za wybór sztuki, która choć miejscami nie dość poetycznie tłomaczona, zapoznała nas z Calderonem, jednym z tych klasyków, których utwory nigdy się nie starzeją, bo oparte są na prawdziwie psychologicznéj znajomości serc ludzkich. To też na takich przedstawieniach pełniejszą oddycha się piersią, jedna, tu i owdzie rzucona myśl wielka budzi w nas gdzieś w zakącie duszy drzemiące czucia i, że powtórzymy z Krasińskim:

Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu…

* * *

O innym benefisie donoszą nam z miasta; wkrótce podobno ma być przedstawienie na rzecz p. B. Dembińskiego, dyrektora orkiestry teatru, która nawiasem mówiąc nie zbyt się stara o względy publiczności. Wybraną na ten dzień sztuką jest pono Wiesław Brodzińskiego, przerobiony na scenę ze śpiewami. Udział w tém przedstawieniu weźmie amatorskie towarzystwo Harmonji, które wytrwale się rozwija pod kierunkiem p. Dembińskiego. Snać że w Harmonji najkompletniejsza panuje harmonja, że duch rozdwojeń i wolnego veto nie wkradł się dotąd do jéj wnętrza jak to niegdyś miało miejsce z jéj poprzedniczką Goplaną. A szkoda umarłéj! bo oba te stowarzyszenia mogłyby dotąd istnieć nie szkodząc sobie wzajemnie — gdyby nie wrodzona nam niezgodność usposobień.

* * *

„There are more things in heaven and earth, Horatio,
„Than are dreamt of in your philosophy….

Słowa, które Shakespeare kładzie w usta Hamleta, dziś mógłby powtórzyć Tygodnik. Jako rzecz zabawną muszę Wam to koniecznie opowiedzieć.

Tygodnik był młodym, bardzo młodym — wyszedł zaledwie pierwszy jego numer, a w nim ustęp z Gołowina zawierający kilka słów pobieżnych o literaturze rossyjskiéj lat ostatnich. Gołowin, jak wiadomo, po trochu polyglota, na co każdy ukształcony Rossjanin choruje, pisał też w kilku językach; przypadek chciał, że przełożony artykuł był z niemieckiego języka. Cóż się dzieje? W kilka dni potém znajdujemy w „Posener Zeitung“ pomieniony ustęp z należnym w tym razie dodatkiem, że jest przetłomaczony z Tygodnika; Niestety — ponownie! Na pochwałę tłomacza dodać tu trzeba, że wiersz przytoczony Księcia Wiazemskiego

a w Tygodniku z rossyjskiego przełożony oryginału, o wiele piękniéj wyszedł w „Posener Zeitung“ niżeli z pod pióra samegoż Gołowina. Cała ta anegdotka przebrzmiała już w pamięci Tygodnika, gdyby jéj nie przypomniał obecnie feleton „Ostdeutsche-Zeitung“, gdzie przetłomaczono „Studjum nad sympatją Niemców dla Polaków“, (tym razem jednak tłomaczono z oryginału) a następnie w numerze 80-ym tejże gazety replika, na którą miałbym wielką ochotę odpowiedzieć, gdyby nie to, że zostawić winienem pierwszeństwo autorowi.

* * *

Chciałbym pomówić z Wami, szanowne czytelniczki o nowych książkach, które, o ile znam nasze kobiéty, tak żywo Was zajmują, ale w dziedzinie nauk pięknych i poezji nie mogę nic na ten raz przytoczyć. Oprócz tłomaczenia „Króla Leara“ Shaekespeara, znanego a tak sympatycznego pióra Adama Pługa (Pietkiewicza), które zresztą już nie jest obcém czytelnikom Mrówki; jéj też nakładem wydane zostało we Lwowie — na tém polu o niczém nowém nie słychać. Natomiast książek specjalnych kilka dostało mi się w ręce; i tak Doktora Teologji Ks. Stablewskiego, Der h. Kirchenvater Petrus von Ravenna Chrysologus sumiennie i zajmująco napisany przyczynek do historji kościoła. Żałować tylko należy, że zdolny pisarz ogłosił swą pracę w języku niemieckim i wzbogacił nią i tak już obfitą literaturę Germanji. Długi czas pisali Polacy po łacinie, dziś jeszcze wielu pisze to w francuzkim to w niemieckim języku, nie myśląc o tém, że głos ich ginie w takim razie dla znacznéj części narodu, dopóki nie znajdzie się jaki tłomacz, — co i w tym razie może nastąpić.

Znany ekonomista p. Prawdzic-Chotomski napisał świeżo broszurę p. n. Przyczyny niepowodzeń przemysłowo-handlowych towarzystw akcyjnych w Galicji. Wiele jednak prawd w téj broszurce wypowiedzianych możnaby nie tylko do Galicji zastosować, — na próbę przytaczamy tu maleńki ustęp:

„My Polacy powinniśmy koniecznie nabyć téj siły przemysłu kupieckiego; téj wytrwałości, która jest główną podstawą cnoty zwanéj: charakterem, a za którą idzie w następstwie i pomyślność. Ta wytrwałość stanowi i na polu walk politycznych dzielnych i praktycznych ludzi we wszystkich narodach.“

A daléj: „Pod względem bogactwa płodów rolniczych, leśnych, kruszcowych i kopalnych, ziemia nasza najbogatsza prawie w Europie. Otóż przyczynami téj nieczynności naszéj na polu stowarzyszonego przemysłu, jest przedewszystkiém niewłaściwy rozwój sił i zdolności narodowych, oprócz zawad, które nam rządy stawiają. Następnie są wady nasze jak n. p.: brak przedsiębiorczości, brak zmysłu organizowania się do pracy, brak wzajemnego zaufania, nepotyzm czyli faworyzowanie bezwzględnie na zdatność ulubieńców koterji lub osób wpływowych...... brak specjalnie wykształconych ludzi lub niedosyć zamiłowanych w uczciwéj a mozolnéj pracy, przy rozgorączkowanéj chęci wygodnego życia i jaknajwiększego w krótkim czasie zysku...“

* * *

Zeszłego piątku, wśród licznie zgromadzonéj publiczności, miał odczyt o zgonie Kościuszki, p. Wegner. Znać dla szan. prelegenta postać ta jest ulubionym przedmiotem studjów, gdyż już w 63 roku wydał jeden ustęp z życia tego tak popularnego Polski bohatera p. n. Bitwa pod Maciejowicami. Rzeczywiście, imie Kościuszki znaném i kochaném jest w każdym kraju zakątku, w każdéj warstwie narodu, a przecież, rzecz niemal nie do uwierzenia, Kościuszko nie znalazł dotąd w narodzie swego Plutarcha. Kiedyś, jakieś Towarzystwo naukowe, ogłosiło konkurs na napisanie życiorysu Kościuszki, o ile jednak wiemy myśl ta upaść musiała dla braku współubiegających się w tym naukowym turnieju. Jedyną pono u nas biografję Kościuszki pisał Lucjan Siemieński (Kraków 1866) któréj ciąg dalszy, jeżeli się nie mylimy, dotąd nie wyszedł.

Podług francuzkich źródeł wydano w 1819 niewielką broszurkę o życiu Kościuszki z dziełka p. Jullien przełożoną a w 1851 Legendę o Kościuszce z Micheleta. Niemcy zajmowali się żywo naszym bohaterem i u nich ma on swego, wprawdzie niedokładnego historyka Falkensteina („Thaddäus Kościuszko nach seinem öffentlichen und häuslichen Leben.“ Lipsk u Brockhausa 1834), niedokładnego o tyle, że wydane w 34 roku dzieło nie mogło mieścić wielu szczegółów, które następnie pojedyńcze badania wykazały. — W nowszych zaś czasach wyszedł czterotomowy zajmujący romans osnuty na tle historyczném p. t. „Thaddeus Kościuszko.“

* * *

Wiadomości o innych poważnych rzeczach odkładam ad acta dla mego następcy przyszłotygodniowego, któremu też łatwiéj będzie poważnie rozprawiać bo przestrzeń dni dziewięciu, która wówczas dzielić Was będzie od karnawału daje mu rękojmię że go uważniéj czytać będziecie choćby nawet pokazał rogi erudycji, dziś wspomnienia karnawałowe zbyt świeże i ja nie erudyt. Mimo téj tentującéj perspektywy stanowczo łamię dziś me pióro; pierwotne postanowienie moje jest niezłomném.

Σ.

Korespondencje: Z Krakowa. Z ziemi Warmińskiéj. List z nad granicy.

Z Krakowa, 11 lutego.

Po długich, a więc prawdopodobnie gruntownych namysłach sędziowie konkursowi wyrzekli ostatnie słowo. Kość zgody padła, a los z różnych dzielnic Polski nadesłanych utworów dramatycznych został rozstrzygnięty. Dramat p. t. „Epidemja“ p. Józefa Narzymskiego otrzymał palmę pierwszeństwa a z nią 450 fl. w. a., drugą nagrodę 150 fl. uzyskała komedja p. Michała Bałuckiego p. t. „Pracowici próżniacy“, nadto zaś poleconą została do scenicznego użytku komedja p. Władysława Sabowskiego „Pół miljona“. Z pozostałych zaś tragedji i komedji, zdaniem sędziów, żadna nie kwalifikuje się do wyszczególnienia...

Niepodobna dziś przesądzać, czy powyższy wyrok pierwszéj instancji zostanie potwierdzony przez publiczność w drugiéj a przez krytykę w trzeciéj i ostatniéj, w nadziei jednak, że dyrekcja krakowskiego teatru postara się w jak najkrótszym czasie wprowadzić na scenę obie uwieńczone i poleconą sobie sztuką, zamawiamy sobie dziś już miejsce w Waszym „Tygodniku“ na obszerny a wyczerpujący referat.

Obraz wyhaftowany na kanwie tutejszego życia z początkiem karnawału nie doznał dotąd żadnéj zmiany. Widzimy tam na pierwszym planie „Sybiraka“ kotyljonującego z „Opieką narodową“ i straż ogniową ochotniczą w nowych hełmach sprawionych kosztem JO. Kadryla i JWéj Tremblantki; technika jadącego omnibusem na Stradom, dochód bowiem z balu na dalszą nie pozwala podróż; akademików, medyków etc. opłakujących smutne rezultata wesołych trudów; u szczytu zaś sławne z doboru towarzystwa, wykwintności, dowcipu i dobrego smaku w ogólnym urządzeniu krakowskie reduty, na których nieprzyjaciele towarzyskiéj przyzwoitości i amatorowie stanu natury w każdą niedzielę i święta dają żywą ilustrację Hobbesowskiéj teorji o wojnie wszystkich przeciw wszystkim.

Dalsza perspektywa tak zahaftowanéj kanwy mniéj wyraziste przedstawia kontury, rozpoznajemy tam jednak bolesne skutki zetknięcia się z kuchnią i piwnicą balowego restauratora, kilka aliansów i mezaljansów skojarzonych brevi manu tak, aby wykaz hipoteczny nie rozłączył tego co walc połączył, w końcu zaś dla zaokrąglenia całości groźna Nemesis w postaci kilku znanych w naszym dystyngowanym świecie Polaków wyznania mojżeszowego z protestowanym weksłem w ręku spieszy shylokować tych co z pełnego kielicha rozkosz pili na kredyt...

Tak tedy po mozołoch i kłopotach nastaną nowe, nie licząc nawet tego, który mam osobiście, zabierając się do dania Wam sprawy z koncertu pana Władysława Żeleńskiego, który miał miejsce 30 stycznia z przeznaczeniem dochodu na odbudowanie Sukiennic, a więc ani na rannych Francuzów, ani na dotkniętych klęską naszych rodaków we Francji, ani inne podobne cele będące teraz w modzie.

Koncert składał się z samych tylko utworów p. Ż., miał zatém obok powyższego ten jeszcze cel, aby rozgłosić i uświetnić imię dotąd prawie nieznane.

Teatr był przepełniony familją i dobrymi znajomymi autora, miejscowe recenzje przesadzały się w pochlebnych sprawozdaniach, oba więc cele zostały dopięte...

Skonstatowawszy ten fakt, mógłbym korespondecję moją zakończyć, sumienność jednak i zupełna bezstronność nakazują mi dodać słów parę.

Utwory p. Żeleńskiego wykonane na wspomnionym koncercie dają pewną rękojmię, że autor ich posiada istotną artystyczną fantazję i wiele twórczego ducha, że zatém o kompozytorskiéj jego przyszłości chlubnie wnioskować można. Utwory te jednak należą tylko do „Sturm und Drangperiode" i tylko jako takie uważane być powinny, wszelkie zaś silenia się o podniesienie ich do rzędu arcydzieła jest co najmniéj naiwnością, z któréj sam autor bez wątpienia się śmieje.

Cóż powie pani Moimir o dziełach mistrza, którym p. Ż. zostać może, jeżeli dla pierwiosnków młodzieńczéj jego muzy nie mogła dobrać w łamach „Przeglądu polskiego" dość dosadnych sentymentów. Między dnem morza a szczytem Himalai są przecież stopniowania, per Dio, nauczymyż się wreszcie umiarkowania. Bogactwo myśli i naturalna oryginalność są cechami charakteryzującemi większość utworów p. Ż., dowodem jego pieśni i wiele ustępów Fantazji pastoralnéj „W Tatrach", zalety te jednak dojdą wtedy dopiero do zupełnéj siły, jasności, spokoju i łagodności, kiedy właściciel ich wyjdzie z epoki chaosu i fantazją swą tak opanować potrafi, jak wprawny sternik panuje nad wzburzonemi falami morza. — „Promenade" „Valsons" „Prélude" i dwie humoreski na fortepian może p. Ż. złożyć ad acta, nawet wyborna gra p. Hoffmanna od upadku ich nie ochroni.

Uwertura koncertowa Es-dur napisaną została widocznie pod wpływem niemieckich klasyków muzycznych, jest też ona raczéj potpourri aniżeli samodzielną pracą. Naśladowanie burzy w Tatrach z Fantazji pastoralnéj jest zarazem naśladowaniem Weberowskich gromów w „Wolnym strzelcu".

Wykonanie z wyjątkiem chórów męzkich mało bardzo zostawiło do życzenia, ze wszech miar miły, podbijający słuchaczów śpiew panny Mecenkeffy, wywoływał gorące oklaski. Artystka ta zaangażowaną została do Berlina, być może że w przejeździe, który ma nastąpić na wiosnę, usłyszycie ją w Poznaniu. Całém wykonaniem dyrygował sam p. Ż. tak jednak samowładnie, że chóry i orkiestra pozbawione ostatniego cienia samodzielności nie zawsze dopisywały. O'Le.

Z ziemi Warmińskiéj.

Zbliżającą się 400letnią rocznicę urodzin Kopernika Polska, jak na obecne stosunki, dość godnie obchodzić będzie, jeżeli zakréślony przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk program zamieni się w rzeczywistość, a mianowicie jeżeli przyszły biograf Kopernika odpowie wymienionym w ogłoszonéj przez Towarzystwo odezwie warunkom.

Tymczasem i Niemcy, a przynajmniéj, jak się dowiaduję, uczona Warmja zamyśla uczcić pamięć wielkiego astronoma; mówią nawet coś o wspaniałym pomniku, wystawić się mającym w miejscu, gdzie Kopernik przez lat czterdzieści przemieszkiwał, — w Frauenburgu, stolicy djecezji Warmińskiéj.

Przeciw uczczeniu pamięci rodaka naszego przez innoplemieńców nicbyśmy nie mieli do nadmienienia; owszém zyskałoby ono całe nasze uznanie i byłoby ono chlubą dla nas, gdybyśmy byli przekonani, że to hołd oddany genjuszowi bez egoistycznych celów pobocznych — a może głównych. Ale niestety, znając Niemców i ich anekcyjne zachcianki, rozciągające się na żywych i umarłych, nie trudno odgadnąć, że uroczystość Kopernikańska z strony niemieckiéj, to tylko pieczęć na wystawionéj przez Niemców rodakowi naszemu pośmiertnie metryce, zaszczycającéj go nieproszoném obywatelstwem narodu myślicieli — Kulturtregerów....

Wspomniawszy o niemieckiéj manji anekcyjnéj, rozciągającéj się także na popioły zmarłych, wtrącę nawiasem tu fakt, którego byłem świadkiem.

Otoczony samymi prawie Niemcami mam sposobność prostowania skrzywionych o Polakach pojęć ich i wyobrażeń. Kiedy przy jednéj z takich sposobności przed kilku tygodniami opowiadałem zdumionym Niemcom, że i Polacy mają literaturę, ba! nawet i w innych gałęziach sztuki nie są barbarzyńcami, i gdy wspomniałem tu o Wicie Stwoszu — jeden ze słuchaczy nie mógł przytłumić w sobie oburzenia na polską bezczelność, wydzierającą Niemcom sławę; ów bowiem Wit Stworz był Niemcem, bo — był przecież w Norymberdze, i nazywał się Veit Stoss.

Podobnych przykładów możnaby spisać całe foljanty; przypominam sobie, żem czytał przed kilku laty niemiecki rodowód ś. p. generała Prima; a wreszcie przecież i Langiewicz nazywał się przez pewien czas Langewitz.

Lecz powracam do Kopernika.

Ostatni, o ile mi wiadomo, który Kopernika anektować pragnął do Germanji i publicznie w tym celu wystąpił, jest prof. dr. Watterich, dawniéj przy Lyceum Hosianum w Brunsberdze, dziś, jeśli się nie mylę, w Bonn, który w „Zeitschrift fuer Geschichte und Alterthumskunde Ermlands" (Moguncja, 1860, tom I, str. 400) zamieścił rozprawkę pod tytułem: „Nikolaus Koppernik ein Deutscher." W rozprawce téj polemizuje autor przeciw ś. p. Jul. Bartoszewiczowi, mianowicie stara się on zbić twierdzenia Bartoszewicza, zawarte w jego biografji Kopernika, poprzedzającéj warszawskie wydanie wszystkich dzieł astronoma naszego z r. 1854. Ale argumenta p. Watterricha wystosowane przeciw Bartoszewiczowi nie mają bynajmniéj siły przekonywającéj, a niedostatku tego nie zastępuje on niczém pozytywném. Szczyt argumentacji osiągnął p. Watterich w zdaniu, że „żaden naród nie ma prawa odmawiać Kopernika Niemcom; sam on bowiem pretensje nasze (t. j. Niemców) do niego stwierdza wieloznacznem milczeniem."

Spodziewajmy się, że życiorys, na który Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk rozpisało konkurs, udowodni wreszcie niezaprzeczenie, że Kopernik, to kość z kości i krew z krwi polskiéj.

Ale powracam do pomysłu nowego pomnika Kopernika w Frauenburgu.

Pomysł ten sam w sobie bynajmniéj nie jest nowy. Już Ignacy Krasicki, ostatni z udzielnych książąt-biskupów warmińskich, zamierzał wystawić w miejscu, z którego rozległ się po przestworzu świata rozkaz „Sta sol, ne moveare!“ godny wielkiego rodaka pomnik. W tym celu już się był porozumiał z artystą pewnym paryzkim; ale znane gospodarstwo Krasickiego finansowe, które już w r. 1771 zniewoliło go do oddania w dzierżawę dochodów biskupstwa swego, stanęło mu na przeszkodzie w wykonaniu planu godnego zaiste genjalnego biskupa. Pomnik wystawiony Kopernikowi byłby zarazem był najlepszym własnym pomnikiem Krasickiego. Tymczasem zdaje się, jakoby książę-biskup pomysł, którego sam wykonać nie zdołał, przeniósł był na królewskiego przyjaciela swego Fryderyka II. A przynajmniéj czytamy w liście Fryderyka do Voltaira z dnia 12 sierpnia 1773: „J'érigerai dans une petite ville de la Varmie un monument sur le tombeau du fameux Copernic qui s'y trouve enterré.“ (Oeuvres de Fréd. le Gr. t. XXIII, p. 250), i jeszcze w dziesięć lat późniéj pamiętał Fryderyk o zamiarze uczczenia Kopernika. Pisze on bowiem do barona Grimmego w dniu 12 grudnia 1783: „Je suis encore en reste d'un cénotaphe que je m'étais proposé de faire élever en Prusse à l'honneur de Copernic“ (tamże t. XXV, p. 351). Ale i królewskie słowo zdaje się tę samą tylko mieć wartość, jak każdego innego śmiertelnika, a w obecnym razie bodaj, czy nie mniejszą. Fryderyk bowiem przedsięwzięcia swego nigdy nie wykonał.

Zresztą nie straciliśmy przez to nic, a prawiebym sądził, żeśmy zyskali jeden argument więcéj, przemawiający za polskiém pochodzeniem Kopernika. Jeżeli bowiem weźmiemy na uwagę, że Fryderyk II, pomimo że był on „der Philosoph auf dem Throne, der wohl im Stande war, wirkliche Geistesgroesse zu wuerdigen“ (Monumenta Hist. Warm. t. IV, str. 237), zamiaru uczczenia Kopernika pomnikiem nie zamienił w czyn, pamiętając wszakże o zamiarze tym tak długi czas, przypuścić trzeba, iż ważne tylko powody wstrzymały go od tego; a jednym z takich powodów dla czegóż nie miałoby być przekonanie Fryderyka o polskiém pochodzeniu Kopernika. Utwierdza mnie w tém mniemaniu wzmiankowana powyżéj okoliczność, że niezawodnie Krasicki natchnął Fryderyka myślą wystawienia Kopernikowi pomnika, na co i Niemcy się zgadzają.

Przechodząc do mniejszych pomników Kopernika w Frauenburgu i przedmiotów, zachowujących pamięć jego u mieszkańców grodu, który i on zamieszkiwał, wspomnieć mi wypada przedewszystkiém o wznoszącéj się po dziś dzień w Frauenburgu baszcie, w któréj wnętrzu mieścił się aparat wodociągu, zaopatrujący w wodę wyniosły pagórek, na którym zbudowany kościół katedralny wraz z zabudowaniami tumskiemi. Wodociąg ten założony został wedle starego podania przez Kopernika, a napis umieszczony na téjże baszcie około r. 1720 przypisuje go również Kopernikowi. Napis ten brzmi:

„Hic patiuntur aquae sursum properare coactae,
Ne careat sitiens incola montis ope.
Quot natura negat, tribuit Copernicus arte.
Unum pro cunctis fama loquatur opus“

Ten więc niespożyty wiekami pomnik sam sobie wystawił Kopernik.

Biskup Marcin Kromer, zaledwie zasiadł na warmińskim tronie biskupim, w obec wzmagającéj się po całéj Europie sławy Kopernika nie mógł przenieść na sobie, by mąż ten dłużéj jeszcze czekał na zasłużony pomnik w kościele katedralnym, któryby zachowywał pamięć jego u kleru katedralnego, którego Kopernik był ozdobą. Postanowił więc, własnym nakładem sporządzić nagrobek, i w liście z dnia 21 listopada 1580 r. datowanym z Licberka (Heilsberg), gdzie miał rezydencję, zawiadomił o przedsięwzięciu swém kapitułę. List ten brzmi: „Quum Nic. Copernicus vivens ornamento fuerit atque etiam nunc post fata sit non solum huic ecclesiae verum etiam toti Prussiae patriae suae, iniquum esse puto, eum post obitum carere honore sepulchri sive monumenti, de quo quaerunt, sicut audivi, nonnunquam literati hospites et peregrini. Proinde conscripsi ei epitaphium idque in aes incidi vel in petram insculpi sumptu meo et parieti ad sepulcrum eius affigi velim. An idem videatur fraternitatibus vestris, faciant eae me certiorem, simulque quantum sumptum id requirat mihi perscribant et bene valeant. Heilsbergae 21 die Novemb. Anno 1580. Martinus Cromerus, Varm. Epp.“ — Na odwrotnéj stronie listu dodaje Kromer napis własnego pomysłu, jakiby na nagrobku chciał widzieć wyrytym. Jest on następujący: „N. Copernico Torunensi huius ecclesiae Canonico viro cum aliis disciplinis erudito mathematico eximio et astronomiae instauratori M. Cromerus, Episcopus Varmiensis.“

W rok potém już nagrobek zdobił ścianę południowéj nawy kościoła katedralnego, wszakże z następującym, odmiennym od pomyślanego przez biskupa napisem: „D. O. M. Rev. D. Nicolao Copernico Torunensi, artium et medicinae doctori, Canonico Warmiensi, praestanti astrologo et eius disciplinae instauratori Martinus Cromerus Episcopus Warmiensis honoris et ad posteritatem memoriae causa posuit MDLXXXI.“ Nagrobek ten przez 150 lat pozostał nietknięty. Dopiéro biskup Szembek, budując r. 1732 przy katedrze kaplicę Wszystkich Świętych, wyrugował go z tąd. W dwadzieścia lat późniéj kapituła kilkakrotnie domagała się restytucji jego; ale ponieważ Krasicki z okoliczności téj powziął zamiar, o którym wyżéj wspomniałem, restytucja nagrobka Kromerowego nie przyszła do skutku.

Restytucja ta mogła téż zdawać się zbyteczną; gdyż równocześnie prawie z wyrugowaniem nagrobku Kromerowego przez biskupa Szembeka, w r. 1735 kapituła umieściła inny nagrobek podobny w innéj ścianie katedry, który dotąd istnieje. Napis jego brzmi: „Nicolao Copernico Thorunensi Cathedralis huius ecclesiae Varmiensis olim canonico, astronomo celeberrimo, cuius nomen et gloria utrumque replevit orbem, monumentum hoc in fraterni amoris aestimationisque tesseram praelati et canonici totumque Varmiense capitulum posuere.“

Z innych pomników Kopernika wspomnieć należy o portrecie jego, darowanym w r. 1677 kapitule przez byłego członka jéj, późniéj Jezuitę Tomasza z Rupniew Ujejskiego, który to portret do dzisiejszego dnia znajduje się na swém miejscu w sali kapitulnéj.

Inny niezły portret astronoma naszego znajduje się w oberży frauenburskiéj „zum Copernicus“, która to oberża zaiste nie przynosi rodakowi naszemu zaszczytu.

Z starych biografji Kopernika znajdowała się jedna w zbiorze rękopisów bibljoteki na Jasnéj Górze Częstochowskiéj, spisana przez ks. Sieneńskiego, który około r. 1723 był kanonikiem w Frauenburgu. Wedle relacji rzadu rossyjskiego manuskryptu tego odnaleść nie można.

J. Gl...

List z nad granicy 13/2*).

Il n'y a que les optimistes qui réussissent, powiedział chociaż nie sympatyczny ale znakomity pisarz. Podzielam jego zdanie i dla tego chociaż nieproszony, nie wątpię, że tak to moje odezwanie się jak i nast-

*) List ten stanowi wstęp do szeregu korespondencji z nad granicy.

pne, gościnnie przyjmiecie. Uczuwam coraz szczerszą chęć komunikowania się z bożym światem, im dłużéj, fraszka Noe w swoim korabiu, odosobniony zostałem z winy potopu... śnieżnego. Spółki są dziś potrzebą uznaną, a że są zarazem i w modzie, więc z obu tych względów nie powinienem być oddalony przez was, skoro tylko wypełnię warunek, tj wniosę fundusz pewien do umysłowéj waszéj skarbony. W kalendarzu wyraźnie stoi, że jesteśmy w karnawale, ale karnawał ten taki jakiś nie swój, taki zaspany, że nic nie stracimy, gdy się skończy, a zarobimy tyle, że już kalendarzowi wierzyć nie będziemy. Przeszedł, widocznie, czas jego panowania, kłamie i on coraz bardziéj, a przysłowie powiada — że kto choć raz skłamie, już wiarę traci. Tymczasem i przysłowia także już kłamią; i to nie tylko polskie ale i francuskie, jak np. travailler pour le roi de Prusse. Jakżeż to łatwo tedy stać się skeptykiem! Racja że łatwo, ale ja już zostanę optymistą, chociażby i inne jeszcze powagi, niż te, które wymieniłem, zawieść miały, chociażby nawet i wśród naszego obozu coraz bardziéj niż dotąd utalentowane słyszeć się dały wywody: że wiara w odbudowanie Polski w skutkach swych, — po tylu straszliwych doświadczeniach, nie może być nadal rękojmią najpierwszą życia naszego, że politycznie idea odrodzenia nie ma sama przez się tego znaczenia, jakie jéj przypisywać przywykliśmy i że teraz tylko intellektualnie mamy dbać o przyszłość, którą aby ubezpieczyć i wywalczyć, potrzeba pielęgnowania z całych sił li owéj neutralnéj dziedziny, któréj na imie praca społeczna, — zostanę optymistą, chociażby mi z wszelką możliwą loiką, popartą nie lada zewnętrznemi okazami, wyplenić chciano przekonanie: że zawdzięczamy p. Bogu tę siłę świętą, która się zwie miłością ojczyzny polskiéj i że skorośmy jéj dotąd — mimo takich olbrzymich i niesłychanych ciosów — nie uronili, stanowić musi naszą arkę, gwiazdę i ucieczkę.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Lincoln, powiedział o swych rodaczkach: że kraj im zawdzięcza swe wyswobodzenie. Nie wątpię, że i o naszych Polkach powie to samo podobna tamtéj powaga; jeśli gdzie to u nas prawdą jest przepis: cherchez la femme! Znaczenie wielkie kobiety u nas przyznane i uznane nie tylko przez tych, którzy nam sprzyjają, ale i przez naszych nieprzyjaciół. którzy nam zazdroszczą tego skarbu, idealnego zarazem i rzeczywistego. Nawet ludzie podobni takiemu H. v. H. — który, jak zapewne wiecie, wysadził się w swéj broszurze zeszłoroczn éj na powiedzenie nam że jesteśmy: capables de tout, mais bons à rien — żałuje jaknajmocniéj, że Germanie wyrzec się muszą połączenia węzłem małżeńskim z pełnemi życia i szlachetności Polkami.

Z tego wszystkiego, co dotąd powiedziałem, nie wypływa bynajmniéj, abym miał nie widzieć i nie wiedzieć, że praca i rozum winny podpierać i rozwijać coraz bardziéj siły nasze żywotne, w coraz krytyczniejszém stawiane położeniu. Nie chcę tylko, aby praca ta i rozum ten przestały mieć za punkt wyjścia wiarę w odrodzenie ojczyzny, ale aby owszem wiarą tą coraz dokładniejszą, coraz głębszą, coraz sumienniejszą się przenikały, i tym sposobem zahartowane, wśród niepowodzeń nie zwątpiały, a wśród pomyślności nie zadowoliły się sobą, — nie powiedziały sobie: reszta to frazes.

Frazesów [w ogóle już zanadto mieliśmy, i one to raczéj nam szkodziły, aniżeli co innego. Hasła to te to owe, formalne monopole' zaprowadzać chciały, podczas gdy jedno tylko hasło ma prawo monopolu i ono też jedno nasze różnice ostatecznie przezwycięża.

Zacząłem list mój wesoło — dokończyć wesoło nie potrafiłem, chociaż taką miałem intencją, i chociaż z dobrym humorem do pisania zasiadłem. Są chwile, w których nie tylko stare Katony wołają: sprawa zwycięzonych na sercu mi leży. z. e. t.

Przegląd literacki.

1. Obraz Syberji przez Wład. Czaplickiego. Wyd. w Krakowie 1871. Tom 1.

Znany autor „Czarnéj Księgi“ skreśla w pracy leżącéj przed nami obraz Syberji mian wicie wschodniéj, gdzie czas dłuższy przebywał. Nie mówiąc o losie naszych wygnańców, podaje nam tu jedynie opis statystyczny i jeograficzny kraju, plemienne pochodzenie mieszkańców, ich obyczaje, życie społeczne i towarzyskie, oświatę, zamożność, zgoła cały obraz moralnego i fizycznego świata, tak często wspominanéj nieszczęsnéj Syberji.

Wyjąwszy części północnéj, kraj to w ogóle żyzny, potrzeba mu tylko zaludnienia cywilizacji, przemysłu, komunikacji, a stałby się zamożnym obfitującym we wszystkie płody ziemskie.

Natura dziewicza mianowicie na wiosnę okrywa się nagle bujną roślinnością, niekończące się lasy, przerzynane wodami i łąkami tworzą nieraz prześliczne krajobrazy, napełniając powietrze aromatycznym zapachem roślin i kwiatów zaściełających nieprzejrzane łany traw. Lasy pełne tu dzikiego zwierza, wody ryb i dzikiego ptastwa, wnętrza ziemi kruszców, brak tylko umysłu ludzkiego, któryby te bogactwa podźwignął z surowéj materji i rąk do pracy. Pierwotni krajowcy na pół dzicy lub ciemni Azjaci, przy systemie rządu opartego na demoralizacji i okrucieństwie, nie mogą zasmakować w tak zwanéj cywilizacji, czując się lepszymi i więcéj ludzkimi od cywilizatorów. Najzamożniejsi w pośród tych plemion i najwięcéj umysłowo rozwinięci są Tatarzy mahometanie, wyżéj stojący duchowo niżeli budyści i szamaniści. Przebywają w miastach oddając się handlowi lub zamieszkują wsie osobne, kiedy inni zwykle żyją w głębi lasów w jurtach lub pod namiotami.

Moskale stanowią przeważnie ludność Syberji, pomnażają się ciągle z zesłanych zbrodniarzy, dobrowolnéj emigracji z Rossji, a w części z wygnańców politycznych.

Zepsucie w tém nowém społeczeństwie roznoszą ci wszyscy, co się zaliczają do rządowéj władzy, od gubernatora, sprawnika, popa, aż do prostego kozaka na postojach. Deprawacja rządu zatruwa wszystko czego się dotknie, wykonawcy jéj na Syberji zdają się wybrańcami z najniżéj upadłych ludzi. Mieszkańcy wsi mający mniéj styczności ze światem czynowniczym, odznaczają się wielu dobremi przymiotami. Zdaje się że te ziarna dobrego są siejbą politycznych wygnańców, jak po miastach rozkwitujący przemysł, w którym wiele gałęzi zawdzięcza początkowanie naszym braciom, jak to opowiada p. Czaplicki, z czasów ostatnich. Nie tyle kraj, co społeczność sybirska a mianowicie czynownicza stają się piekłem dla wygnańców naszych, w którym się czują jak czyste dusze wpośród szatanów. Syberja ma przyszłość przed sobą; jest ona tém dla Rossji, czém Ameryka dla ludów germańskich, szukający chleba i pracy znajdują tu jedno i drugie. Młode pokolenia okazują wiele zdolności i zamiłowania do nauk. Nawet małe dzieci — pisze autor Obrazów — czują potrzebę światła i nauki, nadzwyczaj chciwe są wiedzy. Bez zniecierpliwienia i niechęci, siedzą po trzy godziny przy lekcji, chwytając każde słowo z zachwyceniem.

Książka, o której piszemy, zajmująca i pouczająca zarazem, nikt dotąd nie skreślił z taką systematycznością obrazu Syberji, jak w tej pracy p. Czaplicki. Forma autora jak w innych jego dziełach tak i w tém odznacza się jasnością opowiadania, żywością kolorytu w skréślaniu obrazów natury, stylem łatwym i potoczystym.

†

2. Patrycjusz. Powieść dramatyczna. Wydana w Poznaniu u Żupańskiego 1870 r.

Autor Patrycjusza należy do stronnictwa politycznego, które się samo przezwało trafnie — Stańczykami. Polska w przeszłości jest dla nich drogą, świętą, grób jéj niezmiernie szanują, lecz nie wierzą by z niego kiedy powstać miała. Wedle téj doktryny, szaleniec chyba o tém marzyć może, a zbrodniarz wziąść się do czynu.

Powieść pisana w obrazach, za tło służą jéj wypadki 1863 r., osoby w niéj działające wyjąwszy tytułowéj, takiéj moralności, jak gdyby uciekły z domu karnego. Patrycjusz Witold, to szaleniec, który uwierzył iż Polacy godnymi są cieszyć się niepodległą ojczyzną. Zawiódł się i opłacił wiarę swoją straszliwie, jak to w streszczeniu opowiemy.

W pierwszym obrazie widzimy Witolda w katorżny sybirskiéj przykutego do taczek. Na ręku jego kona towarzysz niedoli, człowiek z ludu. Oddaje mu ślubną obrączkę z prożbą, aby ją wręczył córce jego Jadwidze, a następnie gasnącym głosem powierza tajemnicę: iż się dostał w ręce siepaczy jedynie przez zdradę potomka krwi hetmańskiéj. Witold upokorzony postępkiem karmazyna, postanawia zmyć tę hańbę z rodu patrycjuszów w oczach ludu.

W dalszych obrazach widzimy Witolda w kraju w chwili powstania, gdzie przywdziawszy chłopską sukmanę stawa wśród ludu. Tłuszcza pijana morduje młodych jego towarzyszy, on uchodzi, cudem prawie uratowany. Następnie prowadzi nas autor do komnat księcia Edmunda w Krakowie, który się naradza z hrabią Ludwikiem, jakby sparaliżować powstanie, którego byli głównymi organizatorami.

Witold co tylko przybył do Krakowa w charakterze komisarza rządu narodowego, jego więc przedewszystkiém pozbyć się pragną, aby nie podsycał upadającéj sprawy. W tym celu oddają mu dowództwo oddziału w słodkiéj nadziei że zginie. Witold znalazł Jadwigę w Krakowie, oddał jéj ojca obrączkę i żegna ją teraz jako narzeczoną.

Z obrazem jéj w duszy dosiadł konia aby się udać na zamek Tęczyński, gdzie czekał na niego uzbrojony oddział. Tkliwe te marzenia przerwał jęk straszliwy, spieszy z pomocą i widzi zamordowanego człowieka. Poznaje w nim zacnego ubogiego fotografa, ojca licznéj rodziny, posądzonego niewinnie o szpiegostwo, za co zamordowany z rozkazu rządu narodowego.

Jest to jakby prolog do scen przy zwaliskach Tęczyna, gdzie zbrojny hufiec czekał Witolda. Wyprzedził go tam hrabia Ludwik, opłacił tysiącami rotmistrza oddziału za obietnicę, że w jakibądź sposób ubezwładni Witolda.

Z wszystkich stanów należących do powstania, usiłował autor najohydniéj wystawić duchowieństwo, uosobiając je w postaci księdza Michała kapucyna. Twarz obrzydliwa pijaka, suknia zakonna na nim poszarpana, za paskiem obok paciorków pęk stryczków, gdyż jak opowiada, z rozkoszą odbywa funkcję kata, wieszając własną ręką jeńców zabranych w niewolę i odbył dotąd 165 exekucji.

Patrycjusz na czele hufca przekracza granicę. Zaledwie powstańcy spostrzegli nieprzyjaciela, puścili się w haniebną ucieczkę. Witold ranny, opuszczony od swoich, widzi jak rotmistrz wskazuje go ręką Moskalom. Wtem ciało obwieszonego kapucyna pada u stóp jego, odtrąca je ze wstrętem nogą, trup zatacza się i niknie w nurtach tuż płynącéj rzeki.

Nadbiega Jadwiga, biorą ją z innymi i więżą w cytadeli. Tutaj ukazuje nam autor jedyną uczciwą postać, jedno sympatyczne męzkie serce dla Witolda. Proszę zgadnąć kogo? Oto żandarma moskiewskiego, stróża więźniów. Tu giną kochankowie, ona umiera, on idzie na szubienicę.

Taką jest treść powieści, po któréj przeczytaniu nasuwa się pytanie: do czego prowadzi zbezczeszczenie krwi rozlanéj w imię Polski, wzgarda dla ofiar i męczeństwa, plwanie na tych co konali z miłości ojczyzny na szubienicach. Widzimy, jakby szkołę w literaturze naszéj rozwijającą się w tym kierunku, nacechowaną niechrześciańskiem uczuciem nienawiści, istną pogańską zemstą dla tych, co inną kolej dostrzegają w dziejach ludzkości jak oni. Co do formy powieści, upodobał sobie piszący styl i koloryt Krasińskiego, którego Patrycjusz jest niefortunnym plagiatem.

Naśladownictwo powtarza się często u początkujących autorów, a praca ta nosi wybitnie cechę arcymłodego pióra.

†

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Po bujnym trawniku doszliśmy na krawędź równinki, zasłanéj różnéj wielkości złomami granitu, wśród których ścieżka wiedzie na dół w dolinę Stawów Gąsienicowych z wspaniałym widokiem na szereg dzikich turni, śniegiem tego roku więcéj niż zwykle ubielonych. O wpół do 8méj godzinie usiadłszy tu ponad rozłożoną doliną Gąsienicową, spożyliśmy śniadanie, pojąc się równocześnie cudowną panoramą. Straszony daleką bardzo drogą spieszyć się musiałem, skracając czas przy odpoczynkach poświęcany patrzeniu bez końca na góry, które mają dla wzroku coś nęcącego niewypowiedzianie. Schodząc w dolinę napotkaliśmy dwu młodziutkich juhasów prowadzących konie z obońkami napełnionemi mlekiem wiezionem do wsi. Przez jednego z nich przesłałem żonie pozdrowienie już z pod stóp turni oraz poleciłem przygotowanie do wycieczki na dzień następny, bo pogoda zdawała się ustalać po długiéj słocie.

W dolinie zostawiliśmy za sobą całą osadę szałasów i szop coraz bardziéj się tu pomnażających, zwróciwszy się na lewo ku wschodowi w las. Gdziem stąpił, wszędzie była woda, każda gałąź rosiła nielitościwie, szum wielki dolatujący do uszu wskazywał zbliżanie się do znacznego potoku, który mieliśmy przebywać. Wkrótce nad nim stanęliśmy zakłopotani o przejście, bo belki, które kiedyś tworzyły po nim kładkę, teraz ugniłe sterczały z wody, zaś potok toczący po głazach wielką ilość wody nie pozwalał zwykłego przebywania górskich strumieni.

Przewodnik powiódł mnie wyżéj koło wody w celu znalezienia jakiego możliwego miejsca do przebycia po-

toku. Znowu natrafiliśmy na ugniłe drzewa tą razą w taki sposób z wody sterczące, że śmiały podróżnik mógł się po nich kusić o przeprawę. Dla górala w kierpcach była to rzecz łatwiejsza niż dla mnie w butach i do tego już przemoczonych, gdy po obślizłych belkach przeskakując, można się było jeżeli nie rozbić, to przynajmniéj porządnie skąpać. Ponacinał mi przewodnik ciupagą kilka miejsc na drzewach dla pewniejszego stąpnięcia, że z pomocą toporka udało mi się szczęśliwie minąć burzliwy potok.

Odtąd jeszcze na dół szliśmy niby jakąś ścieżką, a właściwie lesistemi manowcami po wywróconych pniach, kłodach nadgniłych, często zmuszeni nachylać się do ziemi po pod sterczące konary, pod gałęzie, po borowinach brnąć i po różnych krzewach. Szum wody malał, w miarę oddalania się od potoku, lecz nie na długo, bo znowu z przeciwnéj strony szumieć poczęło. Spory jeszcze kawałek drogi przebijaliśmy się przez gąszcz leśny, nim się nam nowy potok ukazał wypływający z głębokiego żlebu skalistego z po pod Żółtéj Turni. Ten potok był łatwy do przebycia, po za nim przyszło nam stromo się piąć w górę po zboczu kamienistém, miejscami trawiastém, po nad którém sterczała ostra turnia jak wieża. Tędy przeprawa nienajlepsza, zwłaszcza po deszczach, gdy kamienie wapienne nadzwyczaj śliskie, a potknięcie się na nich wprawdzie nie grozi zniknięciem w przepaści, lecz w razie wypadku na zdrowie wyjść nie może nagła wędrówka w skalisty parów dość głęboki, którego dnem toczy się potok.

Wydostałem się na wierzach, gdzie pochyłość góry nieznaczna ułatwia pochód. Pośród granitowych głazów rozrasta się kosodrzewina, przez którą tylko dostać się można po ścieżce wyciętéj dla prowadzenia owiec na paszę, kosodrzewu bowiem nie podobieństwo przebywać przebojem z powodu sieci, jaką tworzą tego krzewu korzenie.

Nieraz mnie się już przydarzyło, żem zabłądził w kosodrzewie, z pośród którego ledwo napowrót udało się mi wydostać z wielkim trudem. Dla stopy szuka się podstawy, a téj nie ma, bo noga więźnie gdzieś coraz głębiéj, stanąwszy na gałęzi, ta się ugina, że napróżno szukając podpory ledwie z pomocą rąk z wysileniem wydobyć się można z nieznośnéj niewoli. Ale zato jakże kosodrzewina miłe sprawia wrażenie, gdy przyjdzie stąpać po krawędzi przepaści, któréj zbocza krzaki jéj porastają!

Jest ona wtedy zabezpieczeniem życia, bo co w nią wpadnie, daléj się nie potoczy. Zrzucaliśmy nieraz ogromne bryły kamieni z góry, a te w największym pędzie roztrącając wszystko po drodze, co się nawinęło, w kosodrzewinie utykały.

Tu na pochyłości grzbietu Żółtéj Turni spotkaliśmy gromadkę owiec z juhasem, jak się to często przytrafia, okaleczonym w nogę. Dla zaoszczędzenia kierpców łażą pasterze boso za owcami po ostrych kamieniach i tym sposobem zbijają sobie palce u nóg albo i same stopy. Zdarza się owcom, że nogi łamią, gdy zestraszone pędzą po kamieniach zdradliwie ułożonych. Stanęliśmy w końcu na grzbiecie spodu Żółtéj Turni, skąd mi się ukazała w całéj okazałości dolina Pańszczycy. Nieznany mi dotąd zakątek chciwie pochłaniałem oczyma, aby ubiedz co się dało, nim włóczące się już wtedy chmury po turniach zasłonić miały przedmiot moich dzisiejszych studjów. Z odpoczynku korzystając, dałem memu przewodnikowi buty do amputacji obcasów, które się po kilkogodzinnéj drodze górskiéj już wykrzywiły i przez to nogi obcierać mi poczęły. Z żalem obcinał góral dodatki wymyślone dla upięknienia obuwia, lecz zwykły to los obcasów w Tatrach. Było kwadrans po godzinie 9-téj, obłoki czepiały się coraz gęściéj gór ku memu utrapieniu, ale przecież przemijały i choć na chwilę po kolei odsłaniały szczyty.

Wschodnią ścianę rozpościerającego się z tąd widoku zajmowała rozległa góra Wielka Koszysta z potarganym grzbietem, spadzista, goła, gdzieniegdzie tylko porosła trawnikiem, ubielona paskami śniegu, zwana także czasem Waksmundzkim Wierchem. Od północy mogły oczy bujać po Nowotarszczyźnie aż ku Beskidom, ale od południa zalegała ściana jak zapora utworzona z dzikich skał, Turni Buczynowych, z któremi od zachodu łączyły się Granaty, a z niemi Żółta Turnia zwana Małą Koszystą, rozdzielająca okolicę Zmarzłego od Pańszczycy. Podnóża zwłaszcza Buczynowych Turni zalegały masy śniegu. Poniżéj zaś rozłożona dolina Pańszczyca, dzika, ponura, głucha, zawalona złomami granitów stroiła się do harmonji swego otoczenia. Nigdzie ani znaku nie było istnienia ludzi; przewodnik ubarwiał mi tę dzikość, raczéj przerywał ciszę opowiadaniem wypraw na kozice w tych stronach, wskazywał miejsca, którędy grzbiety na złamanie karku mijali, aby zabiedz spłoszonéj niewinnéj istocie.

Z grzbietu zeszliśmy do doliny, aby znów piąć się pod górę. Potok, który oglądaliśmy patrząc z grzbietu, teraz w dolinie zniknął nam z oczu, bo w górnéj swéj części toczy się on pod głazami i jego istnienie zdradza tylko szum dziwnie oddziaływający na umysł ludzki, gdy dolatuje łoskot z pod ziemi, raz słabszy, raz głośniejszy stosownie do głębokości lub ilości otworów pomiędzy głazami, a sprawcy hałasu nie widać.

Daléj szło się różnie, czasem trzeba było przełazić złomy granitu duże jak izby, spinać się po nich, przedzierać z mozołem, aż natrafiliśmy na niewielki płytki staw zwany Zielonym (5281'). Dno było dobrze widać, kosodrzewina zarosła brzegi jego od północy i wschodu dokąd mnie zawiódł przewodnik zapomniawszy sobie o lepszéj drodze od zachodu stawu, gdzie brzeg kamienisty, wolny od kosodrzewu. Brnęliśmy po krzewach, po sterczących ze stawu głazach, aż gdy tych zabrakło, nie było rady daléj się przedzierać tędy, więc różnemi sposobami wydostać musieliśmy się na lepsze miejsca, ciągle po zwaliskach granitu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skrzynka do listów.

Panu B... C... Hał... w Leodium. Przedpłata kwartalna naszego Tygodnika wraz z przesyłką do Belgji wynosi $21\frac{1}{2}$ sbr; — pozostałe 17 sbr. zapisujemy na następne półrocze.

Panu A... K... w Wągrówcu. Odebraliśmy cenne studjum, które swego czasu zamieścimy i za które serdeczne składamy podziękowanie.

Panu W... El... w Krakowie. Przepraszamy za przerwę i dziękujemy za nadesłaną nam pracę.

Panu E... S... z pod Gostynia. Nadesłane nam książki dla Szlązaka wkrótce prześlemy na miejsce przeznaczenia.

Panu J... G... we Lwowie. Stosownie do łaskawego listu z dnia 12 b. m. wysłaliśmy wiadomy rękopis; — oczekujemy przyrzeczonéj pracy.

Panu B... Pr... Ch... w Czerniowcach. Dziękujemy za łaskawą pamięć. Mylną jest pogłoska, jakobyśmy zamierzali umieszczać przekłady francuzkich powieści. Jeżeli w dalszym rozwoju naszego pisma znajdziesz jakiekolwiek tłomaczenia utworów belletrystycznych, to chyba takie, które bądź-to z pobratymczych języków przełożone, bądź na sławiańskiém tle osnute. Do tego zaś tylko skłonić nas może znaczny wzrost abonentów, gdyż nawał prac oryginalnych nie dozwoli nam drugiéj powieści zamieszczać w dotychczasowych ramach Tygodnika.

Panu W... K... w Gościeszynie. Wysłaliśmy życzony egzemplarz.

X. W.... w Biał.... Pospieszamy z przesyłką życzonych numerów, jakkolwiek urząd pocztowy powinien ich dostarczyć, gdyż tutejsza poczta regularnie odbiera nasz Tygodnik, ktory zobowiązaną jest rozesłać po prowincji.

Panu Z. W. w Poznaniu. Mylnie ktoś snać panu doniósł że format teraźniejszy Tygodnika jest wymagalnym. Redakcja przyrzekła jeden arkusz — reszta zaś jest dodatkiem nadzwyczajnym, z którym nie ma obowiązku rachować się z publicznością. Człowiek, co jak Pan mówi, przez samą życzliwość nie ma potrzeby pożyczać sobie anonimu; a potem imię pańskie o tyle jest potrzebném aby wiedzieć ile wart jest sąd tak apodyktyczny, do którego wnosząc ze stylu, ducha i formy zwykłego listu wielkiéj przywiązywać nie można wagi.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.